

II / 1880

Wspomnienia rodzinne.

© ARCHIWUM WSCHODNIE

Do 1 września 1939r. mieszkaliśmy w Kołodnie pow. Krzemieniec. Ojciec pracował w miejscowym posterunku jako funkcjonariusz PP, mama prowadziła dom i wychowywała dzieci.

Po zajęciu 17 września tych ziem przez wojska armii czerwonej, ojciec natychmiast został internowany i wywieziony w niewiadomym kierunku. Aresztowani zostali zresztą wszyscy mężczyźni polskiego pochodzenia, bez względu na rodzaj wykonywanej pracy.

Na miejscu pozostały tylko same kobiety z dziećmi i starcy. Nasza rodzina była liczna, bo oprócz mamy było nas pięcioro. Szósta córka urodziła się w październiku, kiedy już nie było przy nas ojca. Najstarsza siostra miała 8 lat. Od tego czasu zaczęły się dla nas a szczególnie dla mamy koszmarne dni. Zapasy żywności szybko się kończyły, brakowało również i opału. Pomocy żadnej nikt nie chciał udzielić. Powstały niby jakieś komitety nowej władzy, ale co ich obchodziły polskie rodziny. Odebrane zboże polskim osadnikom, rozdzielają między swoich.

Po kilkunastu alarmach, że będą mordować Polaków nadszedł dzień najgorszy, a może dla nas i zbawienny. W pierwszych dniach lutego 1940r. wczesnym rankiem usłyszała mama kroki kilku osób koło domu, następnie łomotanie do drzwi. Kiedy otworzyła drzwi, zobaczyła żołnierzy armii czerwonej z karabinami na których zatknięte były bagnety. Mama po latach nie pamięta, czy byli z nimi również jacyś cywile. Przybyli żołnierze posiadali wszelkie dane o naszej rodzinie. Oświadczyli mamie, że zarządzeniem władz będzie wysiedlona daleko z całą rodziną. Wyznaczyli czas na przygotowanie się do podróży, oraz poinformowali co można z sobą zabrać. Należy zabrać przede wszystkim żywność i ciepłą odzież. Widząc kilkoro drobnych dzieci, jeden z pozostałych w mieszkaniu udzielił mamie "dobrej rady". Mianowicie, jeżeli są dzieci karmione z butelki, to należy je zostawić na miejscu bo nie przeżyją trudów dalekiej podróży. W tym momencie mama pomimo ogromnego zdenerwowania powstała sytuacja, podejmuje najcięższą w życiu decyzję. Postanowiła po rozmowie z sąsiadkami, które znalazły się w mieszkaniu, że najmłodszą córkę zostawi pod ich opieką. Sąsiadki o zaistniałym fakcie zobowiązały się powiadomić siostrę mamy, mieszkającą 50km. od naszej miejscowości.

Według późniejszych relacji, ciotka przybyła na drugi dzień do naszej miejscowości i zabrała siostrę do siebie.

Siostra cała i zdrowa przeżyła wojnę, niestety mieszka na stałe na terenie Z.S.R.R.

Wspomniane już sąsiadki, pomogły nam bardzo w przygotowaniu nas starszych do podróży. Zgodnie z planem podstawiono pod dom sanki, na które załadowano nas z dobytkiem i pojechalismy na stację. Niestety nikt z nas nie pamięta nazwy stacji kolejowej. Na stacji oczekiwały już wcześniej przygotowane wagony towarowe, częściowo przystosowane do przewozu ludności.

W wagonach po obu stronach były piętrowe prycze, zbite ze zwykłych desek. Na środku stał piecyk żelazny, obok niego wycięty był otwór w podłodze. Nie zapomniano o zakratowaniu czterech małych okienek.

Rozmieszczano przeciętnie po dziesięć rodzin w każdym wagonie. W naszym do którego zostalismy przydzieleni, znalazły się wszystkie rodziny z naszej miejscowości. Były między innymi panie, Lewandowska i Pacześniakowa z synem. Po kilku godzinach kiedy wagony zostały wypełnione, pociąg ruszył w nieznanym kierunku. Warunki zimowe utrudniały orientację w jakim kierunku właściwie jedziemy.

Pociąg zatrzymywał się rzadko, jak wypadł postój na stacji, to podawano do wagonów trochę opału i wody do picia. Niekiedy pomimo ostrych zakazów udało się odważniejszej kobiecie przynieść trochę śniegu do wagonu. Kilka razy wudług opowiadań mamy podano coś co przypominało zupę. Cieszała się mama i z tego, bo dla nas gorący posiłek był niezbędnym. Wszelkie próby samowolnego oddalenia się od transportu, były natychmiast karane uderzeniem kolbą karabinu.

Warunki podróżowania pogarszały się z każdym dniem. Kończyła się przedewszystkim żywność, trzeba było wydzielać porcje aby starczyło do końca podróży którego nikt nie znał.

W bardzo ciężkich warunkach po kilku tygodniach dojechalismy do stacji Mamlatka w Północnym Kazachstanie. Była to jedna z większych stacji w tym rejonie. W tym czasie panowała tu jeszcze ostra zima.

Po wyładowaniu nas z wagonów, kilka rodzin wśród nich byliśmy i my skierowano do chutoru Kałdaman pocztą Sieniewka. Chutor liczył około 20 zabudowań, każda rodzina kierowana była na kwaterę do miejscowej ludności. Najwięcej kłopotów jak zwykle miała nasza mama, ponieważ nikt nie chciał przyjąć tak licznej rodziny. Trudno się było dziwić miejscowym, oni sami mieszkali w prymitywnych warunkach. Domy były budowane z gliny, dachy kryte słomą. Chata taka składała się przeważnie z dwóch małych izb.

Pamiętam, że tam gdzie mieszkalismy do naszej dyspozycji dała gospodyni jedno łóżko i piec, na którym spędzalismy większą część dnia. W nocy oczywiście spaliśmy na piecu we trójkę, pozostała dwójka spała z mamą na łóżku.

Około 1941 roku zebrały się wszystkie polki mieszkające w tym chutorze, wspólnym wysiłkiem zbudowały sobie domek z gliny. Częściowej pomocy przy budowie udzielił kołchoz. Była to mała chatka, na wzór miejscowych składająca się tylko z dwóch izb i małego składziku na opał. W większej izbie oprócz nas mieszkało jeszcze dwie rodziny w mniejszej dwie. W każdej izbie była płyta kuchenna, na której matki w kolejności gotowały posiłki dla swoich rodzin.

Dla nas w większej izbie był przydzielony jeszcze piec, na którym było najcieplej. Przy mrozach dochodzących do 50^oC, ściany naszego mieszkania przez większą część zimy pokryte były szronem.

Zdarzało się, że siostrze która spała na kółku od ściany przymarzały często włosy. Z powodu braku lasów, podstawowym opałem był torf z bydłęcego łajna oraz trzcina. Mając tylko taki opał trudno było utrzymać plusową temperaturę w pomieszczeniach. Gdzieś w połowie stycznia kończyły się zapasy trzciny, wówczas kobiety musiały chodzić po nią na ~~ziarno~~ jezioro. Były wypadki, co spotkało również naszą mamę, że kobiety zażywały przymusowej kąpieli. Było to bardzo niebezpieczne, ponieważ natychmiast robiła się skorupa z odzieży, a do domu było daleko.

Każdego roku na wiosnę gdy zginął śnieg, ruszaliśmy wszyscy na pola gdzie wygrzebywaliśmy z ziemi zmarznięte ziemniaki i buraki.

Następnie po osuszeniu i dodaniu do tego otrąb, piekła mama placki.

Kobiety miały obowiązek pracowania w kołchozie wyznaczoną ilość dni, pozostałe w danym miesiącu mogły przepracować w miarę potrzeby na działkach kołchoźników. Za dzień pracy na działce przyzagrodowej otrzymywała mama jako zapłatę, litr mleka i parę ziemniaków.

Było to bardzo pomocne, ponieważ zapłata za pracę na kołchozowych polach następowała dopiero jesienią po zbiorach.

Dzielono wówczas resztki zboża i ziemniaków, które nie zostały wywiezione do magazynów państwowych jako obowiązkowe dostawy.

Od tych kontygentów nie było żadnego odwołania. Do pracy w kołchozie z miejscowej ludności pozostały tylko kobiety. Wszyscy mężczyźni zdolni do noszenia broni, zabrani zostali na front. Również chłopcy w wieku 17-18 lat, kierowani byli przymusowo na przeszkolenie wojskowe, a następnie na front. W związku z ciągłym brakiem rąk do pracy, brano nas zbiorowo do wrywania ostu ze zboża, zbierania ziemniaków i słomy po żniwach. Mama goniła nas na pola kołchozowe również dlatego, że zarabialiśmy na konto mamy dniówkę. Była również i inna korzyść, po pracy wracając do domu można było co nieco przynieść do zjedzenia.

Dużą pomocą w walce z głodem były ryby łowione w jeziorach okalających z dwóch stron chutor. Trochę ryb mama zawsze suszyła przygotowując zapasy na okres zimowy. Na działkach przyzagrodowych masowo uprawiany był szonecznik jadalny. My bardzo chętnie chodziliśmy z mamą do zbiorów tej rośliny. Po zakończonej pracy przynosiliśmy wyłuskane ziarenka do domu.

Przypominam, co potwierdziła również mama, że gdzieś na przełomie lat 42-43 polki zmuszane były do podpisywania rosyjskiego obywatelstwa. Która z polek odmawiała podpisanie obywatelstwa zabierana była na 2 lata do więzienia. Mamie cudem udało się uniknąć zabrania do więzienia. Fakt zabierania mamy do kantory celem podpisania obywatelstwa okropnie źeśmy przeżyli i doskonale pamiętamy. Chyba tylko nasze wrzaski spowodowały to, że przybyła po mamę komisję ruszyło sumienie i zaniechała wykonania swego zadania. Potem coś się w polityce zmieniło i dali mamie spokój.

Pozostałą polki spędziły około 2 lat w więzieniach, gdzieś dalej na północy. Należy również wspomnieć, że dwie najstarsze siostry i ja chodziliśmy do szkoły, oczywiście rosyjskiej. Oj, ciężkie to było chodzenie ze względu na brak ciepłej odzieży i butów. Rosyjskie dzieci chodziły w ciepłych walonkach, a my w marnych trzewikach. Były okresy i to dość długie, że chodziliśmy do szkoły na zmianę. Ja byłem jeszcze w gorszej sytuacji, ponieważ nie zawsze mogłem nosić ubrania po siostrach.

Wszystkie rzeczy, które zabrała mama do transportu w czasie naszego wysiedlania, trzeba było wymienić z miejscową ludnością na żywność. Istniał tylko handel wymienny, często bardzo wartościowa rzecz zmuszona była mama oddać za koszyk ziemniaków.

Najgorzej było pod koniec zimy, nie było poprostu chętnych do takiego handlu. Chodziła mama od chaty do chaty i prosiła by zlitował się ktoś nad nami i zechciał wymienić trochę ziemniaków.

Oprócz chłodu i głodu, dokuczały nam ciągle wszy i świerzby skóry. Mama czyniła cuda, aby zwalczyć to robactwo. Przy walce ze świerzbem stosowała różne znachorskie sposoby. Smarowała nas najpierw maścią, a potem nagrzewała nas w lekko napalonym piecu. Przy wszystkich bez wyjątku chorobach, stosowane były domowe sposoby leczenia, bo nikt nie mógł liczyć na pomoc lekarza bo jego wogóle nie było.

Najwięcej strachu mieliśmy, jak zachorowała nam mama na malarię. Tylko dzięki pomocy Boskiej udało się mieszkającym z nami polkom odnaleźć lekarza polskiego pochodzenia, który uratował mamę od niechybnej śmierci.

Nikt z mieszkających w naszej miejscowości, nie orientował się jaka była sytuacja na świecie. Radia nikt w chutorze nie miał, gazety nie dochodziły. Do większych miast było bardzo daleko. Wszyscy tracili powoli wiarę, że kiedyś uda się wyrwać z tego piekła.

Aż nadszedł wrzesień 1945r. kiedy powiadomiono wszystkich Polaków, że kto chce wracać do Polski niech składa potrzebne dokumenty przed odpowiednią komisją. Pod nieobecność mamy, która pojechała w tym czasie wołami na bazar odległy o 30km, cały ciężar załatwienia tej sprawy spadł na najstarszą siostrę. Na nasze szczęście dokumenty mama miała zchowane głęboko w skrzyni, bo zawsze wierzyła że będą kiedyś przydatne. Siostra zebrała wszystkie zachowane dokumenty, i udała się z innymi Polkami do miejscowości gdzie działała komisja.

Trzeba było pokonać piechotą odległość 25km, bo z kołchozu nie dali pojazdu. Po zgłoszeniu się siostry przed komisją, ktoś z życzliwych ludzi porobił odpisy z naszych metryk, które następnie złożone przed komisją. Rozpoczął się długi okres oczekiwania, jak będzie załatwiona nasza sprawa. Niektórzy mówili, że może być załatwiona negatywnie, bo mamy przy tym nie było.

W końcu lutego 1946r. nadszedł dla nas najbardziej radosny dzień. Powiadomiono mamę, że sprawa nasza załatwiona została przychylnie, możemy przygotowywać się do wyjazdu do Polski. Gdzieś w połowie marca przewieziono nas sankami do Sieniewki, skąd już samochodami zawieziono nas do tej samej stacji Mamlutka. Po zwiezieniu wszystkich Polaków, załadowano nas do wagonów towarowych i ruszyliśmy do Polski. Powrót był długi i ciężki z powodu braku żywności, chociaż należy stwierdzić, że częściej dawano posiłki jak w tamtą stronę.

Granicę na Bugu przekroczyliśmy na przełomie kwietnia i maja 1946r. Po krótkich postojach na stacjach węzłowych na terenie Polski, dojechalśmy do stacji Szczecin-Dąbie gdzie nas wyładowano.

Następnie załadowali nas Rosjanie na ciężarówki i rozwieźli po mieście przydzielając jednocześnie mieszkania. Nie mieszkaliśmy długo w Szczecinie-Dąbiu, mama na początku czerwca zdecydowała się wyjechać w rodzinne strony ojca, gdzie mieszkamy do obecnej chwili. Po przyjeździe do Łukowa zaopiekowały się nami siostry ojca. Na temat ojca wiemy tylko tyle, że jeszcze w październiku 1939 roku był w obozie w Ostaszkowie, później wszelki ślad po nim zaginął. Mama 85-letnią staruszką mieszka razem z nami.

Tak w wielkim skrócie wyglądało nasze życie w dalekim Kazachstanie.

Wysokiński Feliks 21-400 Łuków. Z poważaniem.

Al. Kościuszki 50/9.